

# Wokół ekranu słowa narasta śnieg

Łukasz Grodziński

W ostatnich miesiącach pojawiło się na łamach prasy kulturalnej sporo tekstów dotyczących perypetii słów i obrazów. Obrazami filmowymi zajmuje się w najnowszej „Kulturze Współczesnej” (4/2009) Ewa Fiuk. Krytyczka interpretuje ekranowe (re)konstrukcje muru berlińskiego w perspektywie myśli Jeana Baudrillarda. Warte namysłu spostrzeżenia autorka rozpoczyna od naskicowania teoretycznych ram: Jeśli zatem upadek muru berlińskiego, oznaczający de facto koniec starego ładu (zarówno na wschodzie, jak i na zachodzie Europy), to czym jest porządek, w którym żyjemy dziś? Z jakich elementów składa się nasza społeczno-polityczna rzeczywistość? Analiza tego, co dzieje się w sferze publicznej dwadzieścia lat po przełomie, czyniona w duchu Baudrillardowskim, mogłaby opierać się na założeniu, że wszystko, czego byliśmy świadkami przez te dwie dekady, to jedynie „sztuczna” rzeczywistość złożona ze znanych głównie z mediów obrazów o charakterze społeczno-politycznym, które zdominowały sferę realną i zaczęły funkcjonować w oderwaniu od samych faktów, teraz jedynie symulowanych. Z całkiem sporej grupy filmów o tej tematyce autorka wybiera te, które najlepiej ukazują najważniejsze tendencje kina rozrachunkowego: W każdym z tych dzieł upadek muru berlińskiego wykracza bowiem poza granice zjawiska o charakterze społeczno-politycznym i zaczyna funkcjonować w zupełnie innym wymiarze: jako zarejestrowany na taśmie filmowej, a zatem pozwalający się w dowolny sposób przekształcać, fragment rzeczywistości („Good bye Lenin”), w formie wydarzenia nie mającego nic wspólnego z oficjalną wersją wydarzeń („Berlin Blues”) czy też jako coś zgoła przypadkowego, niemającego nic wspólnego z oficjalną wersją wydarzeń („Bohaterowie tacy jak my”). Pierwszy z wymienionych filmów odbił się głośnym echem w polskiej krytyce filmowej, dlatego interpre-

tacja tego obrazu przykuwa uwagę: Po drugie, oglądając film Beckera, nie sposób oprzeć się wrażeniu, że Baudrillardowskie simulacrum funkcjonuje tu nie tylko w świecie diegetycznym, ale także na płaszczyźnie percepcji. Z jednej strony, widz jest oczywiście świadomy oszustwa przygotowanego przez Alexa, z drugiej jednak – poprzez identyfikację z główną bohaterką – przyswaja sobie niejako jej odbiór rzeczywistości.

**„Res Publica Nowa”** (8/2009) krąży wokół bardzo ważkiego dla nauki zagadnienia – jak mówić o książkach, których się nie czytało. Obok rozważań Umberta Eco oraz Pierre’a Bayarda, autora przywołanej formuły, natrafiamy także na ankietę dotyczącą roli książek w życiu polskich uczonych. Warto jednak zwrócić uwagę na inny temat. W rozmowie Joanny Turowicz z Renatą Salecl omówiony został ciekawy aspekt ludzkiej psychiki: Psychoanalitycy uważa też, że człowiek często znajduje satysfakcję w braku satysfakcji lub robi wszystko, aby nie dopuścić do zaznania nowych przyjemności. Dotyczy to zwłaszcza obsesyjnych neurotyków. Będą oni wynajdywać nowe zakazy i reguły czy przeciągać deadliny, tak by zbyt szybko nie zakończyć swojej pracy, a w rezultacie, by nie zbliżyć się za blisko do tego, co mogłoby im przynieść przyjemność i usatysfakcjonować ich pragnienia [...]. Bo jouissance jest bardzo często rodzajem przyjemności czerpanej z niezadowolenia, satysfakcją w braku satysfakcji, czymś, czego nie potrafimy przestać robić, mimo że pełna satysfakcja stale okazuje się niemożliwa do osiągnięcia. W rozmowie zostaje przywołany przykład pacjentki, której leczenie okazało się porażką Zygmunta Freuda. Wykazała ona jednak syndromy, które pasują do propozycji Lacanowskich: [...] mimo że przedstawiała siebie jako ofiarę manipulacji ze strony rodziny, nie przerywała swojego cierpienia, podtrzymując istniejące relacje.

**„Odra”** (4/2010) powraca do sprawy, która nie tak dawno wzniesła dyskusję o kondycji polskiego teatru. Chodzi o znamieny gest Joanny Szczepkowskiej, która postanowiła ponownie wykorzystać swój dar do informowania społeczeństwa o sprawach istotnych. Pierwszy zabiera głos Jacek Sieradzki, przypominając etos polskiej szkoły aktorskiej, w imię którego – według krytyka – Szczepkowska ukazała to, co ukazała: Dla przeciwstawienia się tej pladze [chodzi o zalew nijakiej amatorszczyzny w polskim teatrze – ŁG] warto było, żeby ktoś, nawet gestem straceńczym, upomniał się o (niektóre!) przykazania starej szkoły, ryczałtem i mocno przedwcześnie wyrzucone do zsypu ze starzyzną. Żeby było jasne: przykazania, które stara szkoła też łamała nie raz i boleśnie; tu nie chodzi o idealizację starego przeciw nowemu, tu chodzi o zgodę co do zasad. Tomasz Mościcki także przyjmuje perspektywę socjologiczną, nakierowując rozmowę na temat roli pieniędzy publicznych w finansowaniu kultury: Manifestacja JS nie powinna przejść tylko do teatralnych anegdot. Była krokiem odwagi i powodem, by wreszcie przestać się bać medialnego terroru i zacząć zadawać pytania: ile kosztuje w Polsce życie kulturalne, jakie obowiązki oprócz niezbywalnych praw mają twórcy, jak wygląda finansowa polityka państwa...

**„Literatura na Świecie”** (1-2/2010) proponuje nam spotkanie z poezją Paula Celana. Przy okazji lektury wierszy autora „Fugi śmierci” nie powinniśmy ominąć tekstu Łukasza Musiała „Język jako kara”: Mówiąc inaczej: za sprawą objawienia człowiek nie dostrzega rzeczy, o których mówi się w języku, lecz sam język, „wydarzenie” języka. Sam fakt bycia języka. Fakt dotąd niewidoczny, tak, jak niewidoczne są dla nas narzędzia, których bezwiednie używamy na co dzień lub okulary, przez które spoglądamy na świat, nie zastanawiając się, czy pomagają +

nam w patrzeniu, czy może jednak coraz bardziej psują wzrok. Owe narzędzia i okulary, czysty fakt bycia języka, to właśnie zdaniem Agambena, Bóg w chwili objawienia. Rozważania Musiała o języku zostają ozdobione ciekawą interpretacją pewnego motywu wydobytego z twórczości Kafki: Pomyśmy: listonosz nosi w torbie listy, czyli słowa i zdania, w pewnym sensie nosi język. Jest posłańcem języka, żyje dzięki językowi i blisko języka. Lecz przecież nie zna – przynajmniej ten sumienny – treści roznoszonych listów. Dlatego paradoksalnie, choć jest blisko języka, bo ma go w swojej torbie, to zarazem pozostaje od niego odległy. [...] Ale skądinąd taki właśnie sens ma tajemnica pocztowa, która w tym przypadku jest tożsama z tajemnicą języka. [...] nie jest to tajemnica, która zwiastuje nam cokolwiek dobrego; wszak język przynosi śmierć.

W „**Fantastyce**” (4/2010) Anna Kańtoch omawia problem funkcjonowania w powieściach fantastycznonaukowych bohaterek w typie Chandlerowskiego detektywa: Panie są żeńskimi odpowiednikami Marlowe’a: inteligentne, radzące sobie równie dobrze przy pomocy sprytu, jak i broni, z dystansem do samych siebie, atrakcyjne, choć – co zasługuje na uwagę – niepozbawione wad [...]. Mają przy tym – analogicznie do Chandlerowskiego bohatera, który lubił niebezpieczne kobiety – słabość do niebezpiecznych mężczyzn, niekoniecznie zresztą ludzkich. Odmienność bohaterek nie została ukazana więc jako odmienność zasadnicza.

Bardzo gorąco zachęcam czytelników „Czasu Kultury” do zagłębienia się w tekst Joanny Orskiej zamieszczonej w ostatnim „**FA-Arcie**” (4/2009) „Gdzie jest Collegium Polonicum”. Rzecz poświęcona jest recepcji powieści Michała Witkowskiego „Margot”: Dlaczego uważam, że w jakimś sensie byle jaka „Margot” dysponuje niebanalną energią krytyczną? Tym pytaniem wrocławska badaczka inauguruje refleksje po-

święcone przewrotnemu pomysłowi narracyjnemu Witkowskiego. Jej ambicje sięgają jednak znacznie dalej. Odsłania mianowicie słabe strony współczesnej krytyki akademickiej, nie wacha się rozbić jej iluzorycznych roszczeń: Druga sprawa, że wnioski płynące z czysto profesjonalnych przesłanek często wydają się mało satysfakcjonujące – mają jakby krótkie życie. Stąd też recenzje zawodowców wydają się często zarazem tak samo trafne, jak i zdawkowe. Dodatkowo samo „nagie stwierdzenie nieistotności, tautologiczności, próżności „Margot” zdradza nas przed naszym własnym zawodem. Brodząc przez jej pływaczny, w jakimś sensie dokonujemy oceny naszej własnej obojętności wobec tego, co literackie. „Margot” to duch, którego w naszych dyskusjach krytycznych [...] wywołujemy. Wszystko jedno, czy uznamy za Przemysławem Czaplińskim, że społeczeństwo jest funkcją narracji, czy za Kingą Dunin, że literatura jest funkcją społecznej grupy; w obu przypadkach sama literatura jest po prostu mało ważna. Kiedy piszemy o literaturze, nie wierząc w istotność literatury, powstają recenzje, które nie dotyczą książek. Pewnie tak jest, choć z drugiej strony, Joanna Orska wie, że sprawa nie jest taka prosta. Mam niejakię podejrzanie, że sama autorka oddaje się z rozkoszą lekturze krytyków, szczególnie tych znad Loary, których teksty bywają namiętym wyznaniem wiary w literaturę, a zarazem ostentacyjnie omijają książki, o których rzekomo traktują.

Ciekawy suplement do tez Orskiej stanowi samokrytyka inteligencka złożona w „**Twórczości**” (4/2010). Bardzo spodobał mi się obrazek współczesnego uczonego zamieszczony w tekście „Rabat” autorstwa Jerzego Franczaka: Wszystko przygotowane, zaproszenie [...], kolacja w ambasadzie, prelekcje, pompa Roku Conradowskiego. I ja w tym wszystkim, doskonale obojętny na prozę Conrada, ale złaźniony odrobiny egzotyki, fałszywy ekspert, który zna

się tylko na własnych zdziwieniach. [...] No i te moje wystąpienia, które wiozę w walizce, o imperium angielskim, o kolonializmie i postkolonializmie, o nadwątłych kodeksach etycznych. Bezrefleksyjne, oczyszczone z emocji i ocen, drętwe referaty na tzw. narzucające się tematy. [...] Ja i jądro ciemności.

Z Warszawy napłynęła też wiadomość nietuzinkowa. Zapewne żadnemu czytelnikowi „Lampy” (3/2010) nie umknęło ekstatyczne wyznanie Pawła Dunina-Wąsowicza dotyczące odnalezionych przez niego listów Wierzyńskiego do swojej ciotki. Sensacja ta ma zbawienny wymiar dla polskiej humanistyki przynajmniej z dwóch powodów. Otóż po pierwsze, dowiadujemy się, że ciotka Dunina znała żonę Piłsudskiego. Po drugie, w tekście tym autor ostatecznie ustalił, że Wierzyński był jednak skamandrytą. Co więcej, poeta był także spokrewniony z samym Duninem-Wąsowiczem. Poza tymi rewelacjami znajdujemy jeszcze w „Lampie” ciekawy tekst Pawła Koziola na temat sposobów reprezentacji melancholii w liryce Honeta, Dyckiego i Sosnowskiego. O tym ostatnim krytyk notuje dyskusyjne spostrzeżenie: Można na przykład powiedzieć, że Andrzej Sosnowski jest jednym z ostatnich poetów polskich, których można rozpatrywać na sposób proponowany przez Harolda Blooma – to jest w zwarcu, w walce z prekursorem. Od postaci opisywanych w „Lęku przed wpływem” Sosnowski różniłby się jednak tym, że „prekursora” należy w jego przypadku ujmować nieco bardziej metaforycznie. Nie byłby nim określony, osobowy autor, lecz raczej zestaw modernistycznych przekonań i motywów. Dlaczego Sosnowski miałby być jednym z ostatnich poetów doświadczających „lęku przed wpływem”, tego Koziół nie wyjaśnia. ○